

Wyrok [FELIETON]

Nie kryję tego, że ten krótki tekst ma intencję perswazyjną. Jest w gruncie rzeczy obywatelską prośbą kierowaną do polskich prawodawców, aby na przekór zgiełkowi zelotów, oszalałych teraz albo z radości, albo z wściekłości, spróbowali wypracować nową wersję „kompromisu aborcyjnego”, czy tym razem raczej – „kompromisu eugenicznego”, zgodną z trybunalskim rozstrzygnięciem – pisze Jan Rokita w kolejnym tekście z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Atmosfera zaostrej znów w Polsce konfrontacji politycznej, wzmocniona trwającą przewlekłą „wojną kulturową” stwarza w istocie bardzo wąskie pole dla takich rozważań. Po czwartkowym wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji eugenicznej, w domenie publicznej liczą się tylko głosy ideologicznych zelotów, czyli albo entuzjastyczne „yes,yes,yes!”, albo oklepane „piekło kobiet”. I one zdeterminują oczywiście nastawienie dwóch wrogich sobie odłamów opinii publicznej. Wszelka pretensja o taki stan rzeczy byłaby niczym innym, jak tylko objawem jakiejś naiwnej głupoty. Taka bowiem jest natura współczesnej polityki, w której wagę i moc mają wyłącznie gwałtowne uczucia, nad wywoływaniem których pracują sztaby speców od zdobywania władzy. A jeśli to się komu nie podoba, to nie musi w tym teatrze występować. To wszystko prawda. Tyle tylko, że w najmniejszym stopniu ta prawda nie zdejmuje teraz z ustawodawcy powinności roztropnego namysłu nad tym, jak czwartkowy wyrok powinien się przełożyć na prawo. To bowiem, że radykalnie sformułowany dotąd przepis o aborcji eugenicznej straci moc dzięki

wyroкови – to rzecz jedna. A to, że przesłanki aborcyjne powinny zostać na nowo ukształtowane prawnie, w zgodzie z tym orzeczeniem – to oczywiście rzecz druga.

*Po czwartkowym wyroku
Trybunału Konstytucyjnego w
sprawie aborcji eugenicznej, w
domenie publicznej liczą się
tylko głosy ideologicznych
zelotów*

Szkopuł bowiem w tym, co faktycznie oznacza trybunalski wyrok. W chwili gdy piszę te słowa, publicznie znane jest tylko jego ustne uzasadnienie, wygłoszone przez

sędzię Justyna Piskorskiego. Jego sednem jest rozszerzająca wykładnia konstytucyjnego prawa do życia, które to prawo winno także (w jakimś przynajmniej stopniu) ochraniać chory ludzki płód. Z perspektywy – przywołanego zresztą w uzasadnieniu – oświeceniowego przekonania (rzecz jasna, rodem z Kanta), iż „człowiek jest celem, a nie środkiem do celu”, sedno argumentacji Piskorskiego jest w gruncie rzeczy niemożliwe do podważenia. Mówił on: „Ani bowiem dbałość o jakość przekazywanego kodu genetycznego, ani wzgląd na ewentualny dyskomfort życia chorego dziecka, nie może usprawiedliwiać decyzji o podjęciu działań zmierzających do spowodowania jego śmierci”. Nie trzeba bynajmniej być chrześcijaninem, aby ten argument uznać za rozstrzygający. Tym bardziej zresztą, że jak pokazał przebieg rozprawy przed Trybunałem, od czasu uchwalenia sławnego „kompromisu aborcyjnego” przeszło ćwierć wieku temu, praktyka jego stosowania uległa liberalizacji, legalizując de facto usuwanie ciąży w przypadku niezbyt ciężkiego upośledzenia płodu, jakim jest chociażby tzw. „zespół Downa”.

Ale w zależności od woli polityków skutek wyroku może okazać się znacznie dalej idący. Jeśli bowiem tzw. „przesłanka eugeniczna” utraci moc, a żadna nowa reguła prawna w jej miejsce nie zostanie uchwalona, realnym skutkiem będzie prawny obowiązek wydawania na świat organizmów ludzkich, całkowicie niezdolnych do życia (np. z poważnie uszkodzonym mózgiem), a tym samym skazanych na śmierć niezwłocznie, albo niedługo po urodzeniu. Powiedzmy brutalnie to, czego współczesna wydelikaccona poprawnością polityczną publiczność bardzo nie lubi: rodzenie ludzkich potworów. Nie wiem ani jak częste są to przypadki, ani jak dalece natura zdolna jest do drastycznego okrucieństwa. Do głowy nie przyszłoby mi również przeczyć, że to też są ludzie. Ale wiem dobrze, że w całej ludzkiej historii żaden szaleniec nie wymyślił jeszcze takiego prawa, które zakazywałoby zabicia człowieka w absolutnie każdych okolicznościach. Nawet tak humanitarne nowoczesne prawo karne dopuszcza przecież obronę konieczną, stan wyższej konieczności, strzelanie na wojnie, a gdzieś tam nawet karę śmierci. Krótko mówiąc: na tym świecie, na którym żyjemy, jest tak, że w imię moralnej roztropności państwo musi dopuścić zabójstwo w skrajnych sytuacjach, a my – ludzie dorośli (zwłaszcza prawodawcy) musimy mieć siłę, aby wziąć za ten fakt moralną odpowiedzialność. Także przed Bogiem, jeśli jesteśmy chrześcijanami.

Nie kryję tego, że ten krótki tekst (trudno go nazwać „felietonem” z racji powagi sprawy) ma intencję perswazyjną. Jest w gruncie rzeczy obywatelską prośbą kierowaną do polskich prawodawców, aby na przekór zgiełkowi zelotów, oszalałych teraz albo z radości, albo z wściekłości, spróbowali jednak wypracować nową wersję „kompromisu aborcyjnego”, czy tym razem raczej – „kompromisu eugenicznego”, zgodną z trybunalskim rozstrzygnięciem. Trybunał staje na straży

Nowy „kompromis eugeniczny” powinien radykalnie zawęzić dotychczasową przesłankę eugeniczną, tak by chronić ona wszystkich ludzi zdolnych do życia jako ludzie

prawa do życia, ale nie jest przecież rzecznikiem policyjnego przymusu rodzenia organizmów zdeformowanych i z punktu widzenia wiedzy medycznej skazanych na rychłą śmierć. To byłby przecież całkowity

absurd. Nawiasem mówiąc, także absurd polityczny, bo właśnie te najbardziej przerażające wizje przymusowego rodzenia ludzkich potworów będą teraz (ba... już są) eksploatowane w kampanii przeciw całemu trybunalskiemu wyrokowi. Ów nowy „kompromis eugeniczny” powinien radykalnie zawęzić dotychczasową przesłankę eugeniczną, tak by chronić ona wszystkich ludzi zdolnych do życia jako ludzie. W takich granicznych sytuacjach obowiązkiem prawodawcy jest całkowicie uodpornić się na wrzask zelotów po obu stronach, poprosić o radę ludzi o rozległej wiedzy i wrażliwym sumieniu, a w końcu we właściwym szybkim terminie przegłosować nową wersję normy zakwestionowanej przez Trybunał. W przeciwnym razie istnieje duże ryzyko, że z trybunalskiego wyroku może wyniknąć więcej zła, aniżeli dobra.

Jan Rokita

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczdzkiej wsi”